

Słodko-gorzka opowieść o cukierkach Kanolda

- Barbara Kanold, autorka kilku książek o znanych gdańszczanach, tym razem przedstawiła historię swojej rodziny na tle wydarzeń XX wieku
- Sukces przedsiębiorców sprzed kilkudziesięciu lat niezmiennie stanowi inspirację dla współczesnych ludzi biznesu

Rozmowa

Z Barbarą Kanold, która w „Rodzinnej historii słodczy” przypomniała losy znanej przedwojennej firmy, rozmawia Marek Adamkiewicz

Danzig, Weidengasse 35-38, czyli Gdańsk, ulica Łąkowa. Zdaje się, że adres ten brzmi Pani znajomo?

Pewnie mniej znajomo niż Leszno w Wielkopolsce, ulica Królowej Jadwigi 37, bo to miejsce mojego, rodzinnego Kanolda. Ale jednak... Franz Koch w „Wojennych losach Niemca i Polki w Gdańsku” napisał: „Jest 2 grudnia 1939 roku. Wraz z matką i siostrą jedziemy z Berlina do Gdańska, ojciec pracował w administracji... W Boże Narodzenie wybraliśmy się do restauracji w Wisłoujściu na pieczoną gęś. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy kiosku, na którym już z daleka widać było reklamę znanych nam cukierków Kanold”.

Zapewne produkowano je w gdańskiej spółce akcyjnej Kanold mieszczącej się przy Weidengasse 35-38, czyli dzisiejszej ulicy Łąkowej. Czy należała do Antona czy Freda Kanoldów nie udało mi się, niestety, dociec. Ale pewnie tak, skoro fabryka, jak inne rozsiane po Europie, wzięła nazwę od ich nazwiska.

Cukierki-kanoldy pamiętają też inni gdańszczanie. Profesor Zdzisław Wajda, niegdyś rektor naszej Akademii Medycznej, tak je wspomina: „kanoldy jadaliśmy przed wojną, pyszne, śmietankowe. A nawet w czasie wojny, kiedy z Gdyni wysiedlono moją rodzinę do Wieliczki i chodziłem tam do jakieś szkoły handlowej, nasz nauczyciel języka niemieckiego, w nagrodę za poprawną odpowiedź częstował nas kanoldami. Pamiętam ich wyśmienity smak”. A kiedy przed laty, jako dziennikarka, robiłam wywiad z Jurandem ze Spychowa, czyli świetnym aktorem Andrzejem Szalawskim, swego czasu związanym z gdańskim Teatrem Wybrzeże, po pomyślanej autoryzacji, aktor powiedział: „pani nazwisko kojarzy mi się z mlecznymi cukierkami, które pochodziły z firmy Kanold”. Po czym zaczął



Henryk Kaczmarek-Kanold (w środku), właściciel fabryki słodczy w Lesznie i ojciec autorki, ze współpracownikami

szczegółowo charakteryzować ich wygląd. Na mój trochę tajemniczy uśmiech zareagował zdecydowanie: „przecież pani nie może tych karmelków pamiętać!”. Otóż pamiętam, bo moje dzieciństwo pachniało karmelem, słodem, mlecznymi cukierkami.

To zaledwie niewielka część historii rodzinnej, którą zdecydowała się Pani opisać. Chciałoby się powiedzieć: wreszcie, bo przecież jest Pani autorką już kilku książek.

Piszę książki o znanych mieszkańcach grodu nad Motławą, który - mimo moich leszczyńsko-poznańskich korzeni - stał się moim miejscem na ziemi. W dorobku mam już siedem takich pozycji. Pierwsza, „Rozmowy o tańcu” powstała z autentycznego zafascynowania tańcem i osobą współautorki, znakomitej choreografki, twórczyni i gdańskiej szkoły, i naszego baletu, Janiny Jarzynówny-Sobczak. Potem napisałam portret znanego aktora Stanisława Michalskiego. Profesor Andrzej Januszajtis, „Gdańszczanin z wyboru”, najznakomitszy aktor naszego

miasta, zaprowadził mnie do gdańskiego kościoła Świętej Barbary. Andrzej Perepeczko, marynista, w „Serwus, panie chie!” wprowadzał w arkana „okrętowej maszyny”. Króla polskich skrzypiec, Konstantego Andrzeja Kulkę namówiłam do zwierzeń w „Splacam dług”, gdzie przekonywał, że skrzypce mają duszę.

Z profesorem Je-

po wielu latach starań, napisałam „Spotkania o zmierzchu” z arcybiskupem senio-rem Tadeuszem Gocłowskim. W planach mam jeszcze kilku godnych gdańszczan.

Skąd więc teraz pomysł na książkę o Kanoldach? Czyżby potrzeba serca?

Swój, niemały udział w jej powstaniu miał Krzysztof Oskar, wydawca moich wszystkich książek. To on zachęcał mnie gorąco do

utrwalenia sagi rodzinnej, a ja jako wczesny zodiakalny Strzelec nie składam łatwo bronii - moja konstelacja skłania do działania. Więc teraz napisałam „Kanolda rodzinną historię słodczy”. I gorczy zarazem. Bo nasze losy, jak wielu polskich rodzin, obrazują życie i działalność rodaków przed i drugiej wojnie światowej. Ich tworzenie, budowanie gospodarki, a potem walkę o utrzymanie własności, miejsc pracy dla współbraci. Oczywiście, była też w tym pisaniu potrzeba serca, aby dać świadectwo działań dziada i ojca, ich udziału w życiu Wielko-

Zastanawiałem się, co jest najbardziej frapującego w tej historii. Mnie osobiście się wydaje, że swoboda, z jaką Kanoldowie, choć nie tylko oni, poruszali się po świecie. Przywołuje Pani Niemcy, Szwecję, Amerykę. Rzecz jasna, też Polskę.

W monografii wydanej w 1928 roku w Berlinie z okazji sześćdziesięciolecia istnienia firmy Sarotti, przeczytałam, że jej największym akcjonariuszem był Anton Kanold. To właśnie z nim wiążą się losy mojej rodziny, bo choć nie ma między nami biologicznego pokrewieństwa, noszę po nim nazwisko.

Anton Tjark Friedrich August Kanold przyszedł na świat prawdopodobnie w Szwecji. Dotarłam do raportu dotyczącego firmy Bröderna Kanold Aktiebolag (Bracia Kanold Spółka Akcyjna), która powstała w 1901 roku w miejscowości Garda (obecnie wchodzącej w skład Göteborga) w Szwecji. Kiedy bracia Kanoldowie zakładali tę firmę Anton miał zaledwie 25 lat.

Dziesięć lat później, w roku 1911, firma przeniosła się do nowej siedziby w Jakobsdal (dziś Hjulsbro). Bracia Kanoldowie produk-

punkt rozwoju osiągnęli w 1923 roku.

U progu lat dwudziestych ubiegłego wieku Anton Kanold był dyrektorem zarządzającym i największym udziałowcem fabryki słodczy Sarotti, mieszczącej się w Berlinie-Schönebergu. Zapewne tam miał okazję poznać go mój ojciec, który urodził się w 1903 roku w Berlinie i jako młody człowiek był praktykantem w fabryce Sarotti. Przypuszczam, że jakąś inspirującą rolę w umieszczeniu go w tym zakładzie odegrał dziadek Mikołaj. Zapewne z berlińskich czasów datuje się późniejsza znajomość Antona Kanolda z moim dziadkiem i ojcem, która w 1931 roku doprowadziła do decyzji o wykupieniu przez nich fabryki Kanolda w Lesznie.

W latach dwudziestych Anton Kanold zainwestował w fabryki czekolady w Pradze, Mediolanie, ponadto otworzył fabryki cukierków w Berlinie, Essen i Norymbardze. Zbudował też fabryki produkujące cukierki w Kopenhadze, Paryżu, Wiedniu i Lesznie.

Bracia Kanoldowie przez cały czas inwestowali w najlepsze maszyny do produkcji słodczy, jakie oferował im rynek. Poza tym nieustannie pracowali nad ulepszeniem swoich produktów. Z uwagą śledzili zmieniające się trendy na rynkach światowych, zwłaszcza amerykańskim i niemieckim. Najpewniej to wszystko przyczyniło się do ich sukcesu.

Po latach światowego kryzysu w Szwecji Kanold otworzył w Göteborgu sklep ze słodczymi. Jeden z nich do dzisiaj prowadzi Jeanna Kanold, w czwartym pokoleniu spowinowacona z rodziną Antona i Freda Kanoldów. Anton Kanold zmarł w 1951 roku. Nie udało mi się odnaleźć żadnych informacji, które by potwierdzały, że w latach powojennych miał on jakiś kontakt z moim dziadkiem lub ojcem. Zresztą realia polityczne w Polsce nie sprzyjały takim spotkaniom. „Rodzinną historię słodczy” można traktować nie tylko jako sagę rodzinną, lecz także jak opowieść o sukcesie. Taką, która stanowi inspirację dla współczesnych przedsiębiorców. Myślę, że zarówno mój dziadek, Mikołaj Kaczmarek jak



Reklama firmy Kanold w Gdańsku

Kanold mogłoby być dobrym wzorem dla dzisiejszych przedsiębiorców. Rodzice mało podróżowali, nie wydawali pieniędzy na własne potrzeby, bo najważniejsza była firma - inwestowali, rozbudowywali, ulepszyli produkcję. W archiwalnych zapisach znalazłam informację o wykupie większości akcji firmy, chroniąc ją tym samym przed przejściem w ręce niemieckie. Jak skrupulatnie podnosili kapitał akcyjny, na przykład z 150 do 500 tysięcy złotych.

W bilansach zachowanych w Archiwum Państwowym w Lesznie napisano, że w roku 1936 roku fabryka przerobiła 400 tysięcy kilogramów cukru, 250 tysięcy litrów mleka i 200 tysięcy kilogramów syropu cukrowego. Marka Kanold była postrzegana w II Rzeczypospolitej jako „synonim wysokiej jakości i dobroci produktu”. W fabryce tylko przy zawijaniu cukierków (ręcznym i maszynowym) pracowało sto pięćdziesiąt pakowaczek. Myślę, że właśnie z tego powodu postacią mojego ojca zainteresowało się Stowarzyszenie „Pracodawców Pomorza”.

Spotkam się z nimi w ostatnim tygodniu lutego i będziemy rozmawiać jak to w tamtych czasach przedsiębiorcy dbali o rozwój swoich firm, o pracowników, o polską gospodarkę.

Zostało coś z rodzinnej schedy poza wspomnieniami? Tylko kilka puszek po cukierkach, opakowania czekoladowe, a w leszczyńskim muzeum piękny album, który pracownicy ofiarowali w 1948 roku, dziadkowi i ojcu „w dowód wdzięcznej przyjaźni”.

I ogromna dziura po moim „Kanoldzie” w Lesznie na ul. Królowej Jadwigi, jako symbol tego, co się stało z firmą po upaństwowieniu w czerwcu 1949 roku. Dla mnie jednak najważniejsze pozostaje wspomnienie ojca - człowieka dobrego, lubianego, przyznanego ludzom. Zawsze troszczył się o pracowników, interesował ich życiem, pomagał. Sponsorował dzieci, szkoły, instytucje pożytku publicznego. Jest więc do czego wracać pamięcią... ●

Rozmawiał MAREK ADAMKOWICZ



Słodko-gorzka opowieść o cukierkach Kanolda

- Barbara Kanold, autorka kilku książek o znanych gdańszczanach, tym razem przedstawiła historię swojej rodziny na tle wydarzeń XX wieku
- Sukces przedsiębiorców sprzed kilkudziesięciu lat niezmiennie stanowi inspirację dla współczesnych ludzi biznesu

Rozmowa

Z Barbarą Kanold, która w „Rodzinnej historii słodyczy” przypomniała losy znanej przedwojennej firmy, rozmawia Marek Adamkiewicz

Danzig, Weidengasse 35-38, czyli Gdańsk, ulica Łąkowa. Zdaje się, że adres ten brzmi Pani znajomo?

Pewnie mniej znajomo niż Leszno w Wielkopolsce, ulica Królowej Jadwigi 37, bo to miejsce mojego, rodzinnego Kanolda. Ale jednak... Franz Koch w „Wojennych losach Niemca i Polki w Gdańsku” napisał: „Jest 2 grudnia 1939 roku. Wraz z matką i siostrą jedziemy z Berlina do Gdańska, ojciec pracował w administracji... W Boże Narodzenie wybraliśmy się do restauracji w Wisłoujściu na pieczoną gęś. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy kiosku, na którym już z daleka widać było reklamę znanych nam cukierków Kanold”.

Zapewne produkowano je w gdańskiej spółce akcyjnej Kanold mieszczącej się przy Weidengasse 35-38, czyli dzisiejszej ulicy Łąkowej. Czy należała do Antona czy Freda Kanoldów nie udało mi się, niestety, dociec. Ale pewnie tak, skoro fabryka, jak inne rozsiane po Europie, wzięła nazwę od ich nazwiska.

Cukierki-kanoldy pamiętają też inni gdańszczanie. Profesor Zdzisław Wajda, niegdyś rektor naszej Akademii Medycznej, tak je wspomina: „kanoldy jadaliśmy przed wojną, pyszne, śmietankowe. A nawet w czasie wojny, kiedy z Gdyni wysiedlono moją rodzinę do Wieliczki i chodziłem tam do jakieś szkoły handlowej, nasz nauczyciel języka niemieckiego, w nagrodę za poprawną odpowiedź częstował nas kanoldami. Pamiętam ich wyśmienity smak”. A kiedy przed laty, jako dziennikarka, robiłam wywiad z Jurandem ze Spychowa, czyli świetnym aktorem Andrzejem Szalawskim, swego czasu związanym z gdańskim Teatrem Wybrzeże, po pomyślniej autoryzacji, aktor powiedział: „pani nazwisko kojarzy mi się z mlecznymi cukierkami, które pochodziły z firmy Kanold”. Po czym zaczął



Henryk Kaczmarek-Kanold (w środku), właściciel fabryki słodyczy w Lesznie i ojciec autorki, ze współpracownikami

szczegółowo charakteryzować ich wygląd. Na mój trochę tajemniczy uśmiech zareagował zdecydowanie: „przecież pani nie może tych karmelków pamiętać!”. Otóż pamiętam, bo moje dzieciństwo pachniało karmelem, słodem, mlecznymi cukierkami.

To zaledwie niewielka część historii rodzinnej, którą zdecydowała się Pani opisać. Chciałoby się powiedzieć: wreszcie, bo przecież jest Pani autorką już kilku książek.

Piszę książki o znanych mieszkańcach grodu nad Motławą, który - mimo moich leszczyńsko-poznańskich korzeni - stał się moim miejscem na ziemi. W dorobku mam już siedem takich pozycji. Pierwsza, „Rozmowy o tańcu” powstała z autentycznego zafascynowania tańcem i osobą współautorki, znakomitej choreografki, twórczyni i gdańskiej szkoły, i naszego baletu, Janiny Jarzynówny-Sobczak. Potem napisałam portret znanego aktora Stanisława Michalskiego. Profesor Andrzej Januszajtis, „Gdańszczanin z wyboru”, najznakomitszy aktor naszego

miasta, zaprowadził mnie do gdańskiego kościoła Świętej Barbary. Andrzej Perepeczko, marynista, w „Serwus, panie chie!” wprowadzał w arkana „okrętowej maszyny”. Króla polskich skrzypiec, Konstantego Andrzeja Kulkę namówiłam do zwierzeń w „Splacam dług”, gdzie przekonywał, że skrzypce mają duszę.

Z profesorem Je-

po wielu latach starań, napisałam „Spotkania o zmierzchu” z arcybiskupem senio-rem Tadeuszem Gocłowskim. W planach mam jeszcze kilku godnych gdańszczan.

Skąd więc teraz pomysł na książkę o Kanoldach? Czyżby potrzeba serca?

Swój, niemały udział w jej powstaniu miał Krzysztof Grynder, szef wydawnictwa Oskar, wydawca moich wszystkich książek. To on zachęcał mnie gorąco do

utrwalenia sagi rodzinnej, a ja jako wczesny zodiakalny Strzelec nie składam łatwo bronii - moja konstelacja skłania do działania. Więc teraz napisałam „Kanolda i rodzinę słodyczy”. I gorczy zarazem. Bo nasze losy, jak wielu polskich rodzin, obrazują życie i działalność rodaków przed i po drugiej wojnie światowej. Ich tworzenie, budowanie gospodarki, a potem walkę o utrzymanie własności, miejsc pracy dla współbraci. Oczywiście, była też w tym pisaniu potrzeba serca, aby dać świadectwo działań dziada i ojca, ich udziału w życiu Wielko-

Zastanawiałem się, co jest najbardziej frapującego w tej historii. Mnie osobiście się wydaje, że swoboda, z jaką Kanoldowie, choć nie tylko oni, poruszali się po świecie. Przywołuje Pani Niemcy, Szwecję, Amerykę. Rzecz jasna, też Polskę.

W monografii wydanej w 1928 roku w Berlinie z okazji sześćdziesięciolecia istnienia firmy Sarotti, przeczytałam, że jej największym akcjonariuszem był Anton Kanold. To właśnie z nim wiążą się losy mojej rodziny, bo choć nie ma między nami biologicznego pokrewieństwa, noszę po nim nazwisko.

Anton Tjark Friedrich August Kanold przyszedł na świat prawdopodobnie w Szwecji. Dotarłam do raportu dotyczącego firmy Bröderna Kanold Aktiebolag (Bracia Kanold Spółka Akcyjna), która powstała w 1901 roku w miejscowości Garda (obecnie wchodzącej w skład Göteborga) w Szwecji. Kiedy bracia Kanoldowie zakładali tę firmę Anton miał zaledwie 25 lat.

Dziesięć lat później, w roku 1911, firma przeniosła się do nowej siedziby w Jakobsdal (dziś Hjulsbro). Bracia Kanoldowie produk-

punkt rozwoju osiągnęli w 1923 roku.

U progu lat dwudziestych ubiegłego wieku Anton Kanold był dyrektorem zarządzającym i największym udziałowcem fabryki słodyczy Sarotti, mieszczącej się w Berlinie-Schönebergu. Zapewne tam miał okazję poznać go mój ojciec, który urodził się w 1903 roku w Berlinie i jako młody człowiek był praktykantem w fabryce Sarotti. Przypuszczam, że jakąś inspirującą rolę w umieszczeniu go w tym zakładzie odegrał dziadek Mikołaj. Zapewne z berlińskich czasów datuje się późniejsza znajomość Antona Kanolda z moim dziadkiem i ojcem, która w 1931 roku doprowadziła do decyzji o wykupieniu przez nich fabryki Kanolda w Lesznie.

W latach dwudziestych Anton Kanold zainwestował w fabryki czekolady w Pradze, Mediolanie, ponadto otworzył fabryki cukierków w Berlinie, Essen i Norymbardze. Zbudował też fabryki produkujące cukierki w Kopenhadze, Paryżu, Wiedniu i Lesznie.

Bracia Kanoldowie przez cały czas inwestowali w najlepsze maszyny do produkcji słodyczy, jakie oferował im rynek. Poza tym nieustannie pracowali nad ulepszeniem swoich produktów. Z uwagą śledzili zmieniające się trendy na rynkach światowych, zwłaszcza amerykańskim i niemieckim. Najpewniej to wszystko przyczyniło się do ich sukcesu.

Po latach światowego kryzysu w Szwecji Kanold otworzył w Göteborgu sklep ze słodyczami. Jeden z nich do dzisiaj prowadzi Jeanna Kanold, w czwartym pokoleniu spowinowacona z rodziną Antona i Freda Kanoldów. Anton Kanold zmarł w 1951 roku. Nie udało mi się odnaleźć żadnych informacji, które by potwierdzały, że w latach powojennych miał on jakiś kontakt z moim dziadkiem lub ojcem. Zresztą realia polityczne w Polsce nie sprzyjały takim spotkaniom. „Rodziną historią słodyczy” można traktować nie tylko jako sagę rodzinną, lecz także jak opowieść o sukcesie. Taką, która stanowi inspirację dla współczesnych przedsiębiorców. Myślę, że zarówno mój dziadek, Mikołaj Kaczmarek jak



Reklama firmy Kanold w Gdańsku

Kanold mogłoby być dobrym wzorem dla dzisiejszych przedsiębiorców. Rodzice mało podróżowali, nie wydawali pieniędzy na własne potrzeby, bo najważniejsza była firma - inwestowali, rozbudowywali, ulepszyli produkcję. W archiwalnych zapisach znalazłam informację o wykupie większości akcji firmy, chroniąc ją tym samym przed przejściem w ręce niemieckie. Jak skrupulatnie podnosili kapitał akcyjny, na przykład z 150 do 500 tysięcy złotych.

W bilansach zachowanych w Archiwum Państwowym w Lesznie napisano, że w roku 1936 roku fabryka przerobiła 400 tysięcy kilogramów cukru, 250 tysięcy litrów mleka i 200 tysięcy kilogramów syropu cukrowego. Marka Kanold była postrzegana w II Rzeczypospolitej jako „synonim wysokiej jakości i dobroci produktu”. W fabryce tylko przy zawijaniu cukierków (ręcznym i maszynowym) pracowało sto pięćdziesiąt pakowaczek. Myślę, że właśnie z tego powodu postacią mojego ojca zainteresowało się Stowarzyszenie „Pracodawców Pomorza”.

Spotkam się z nimi w ostatnim tygodniu lutego i będziemy rozmawiać jak to w tamtych czasach przedsiębiorcy dbali o rozwój swoich firm, o pracowników, o polską gospodarkę.

Zostało coś z rodzinnej schedy poza wspomnieniami?

Tylko kilka puszek po cukierkach, opakowania czekoladowe, a w leszczyńskim muzeum piękny album, który pracownicy ofiarowali w 1948 roku, dziadkowi i ojcu „w dowód wdzięcznej przyjaźni”.

I ogromna dziura po moim „Kanoldzie” w Lesznie na ul. Królowej Jadwigi, jako symbol tego, co się stało z firmą po upaństwowieniu w czerwcu 1949 roku. Dla mnie jednak najważniejsze pozostaje wspomnienie ojca - człowieka dobrego, lubianego, przyznanego ludzkiem. Zawsze troszczył się o pracowników, interesował ich życiem, pomagał. Sponsorował dzieci, szkoły, instytucje pożytku publicznego. Jest więc do czego wracać pamięcią... ● Rozmawiał MAREK ADAMKOWICZ



Słodko-gorzka opowieść o cukierkach Kanolda

- Barbara Kanold, autorka kilku książek o znanych gdańszczanach, tym razem przedstawiła historię swojej rodziny na tle wydarzeń XX wieku
- Sukces przedsiębiorców sprzed kilkudziesięciu lat niezmiennie stanowi inspirację dla współczesnych ludzi biznesu

Rozmowa

Z Barbarą Kanold, która w „Rodzinnej historii słodyczy” przypomniała losy znanej przedwojennej firmy, rozmawia Marek Adamkiewicz

Danzig, Weidengasse 35-38, czyli Gdańsk, ulica Łąkowa. Zdaje się, że adres ten brzmi Pani znajomo?

Pewnie mniej znajomo niż Leszno w Wielkopolsce, ulica Królowej Jadwigi 37, bo to miejsce mojego, rodzinnego Kanolda. Ale jednak... Franz Koch w „Wojennych losach Niemca i Polki w Gdańsku” napisał: „Jest 2 grudnia 1939 roku. Wraz z matką i siostrą jedziemy z Berlina do Gdańska, ojciec pracował w administracji... W Boże Narodzenie wybraliśmy się do restauracji w Wisłoujściu na pieczoną gęś. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy kiosku, na którym już z daleka widać było reklamę znanych nam cukierków Kanold”.

Zapewne produkowano je w gdańskiej spółce akcyjnej Kanold mieszczącej się przy Weidengasse 35-38, czyli dzisiejszej ulicy Łąkowej. Czy należała do Antona czy Freda Kanoldów nie udało mi się, niestety, dociec. Ale pewnie tak, skoro fabryka, jak inne rozsiane po Europie, wzięła nazwę od ich nazwiska.

Cukierki-kanoldy pamiętają też inni gdańszczanie. Profesor Zdzisław Wajda, niegdyś rektor naszej Akademii Medycznej, tak je wspomina: „kanoldy jadaliśmy przed wojną, pyszne, śmietankowe. A nawet w czasie wojny, kiedy z Gdyni wysiedlono moją rodzinę do Wieliczki i chodziłem tam do jakieś szkoły handlowej, nasz nauczyciel języka niemieckiego, w nagrodę za poprawną odpowiedź częstował nas kanoldami. Pamiętam ich wyśmienity smak”. A kiedy przed laty, jako dziennikarka, robiłam wywiad z Jurandem ze Spychowa, czyli świetnym aktorem Andrzejem Szalawskim, swego czasu związanym z gdańskim Teatrem Wybrzeże, po pomyślanej autoryzacji, aktor powiedział: „pani nazwisko kojarzy mi się z mlecznymi cukierkami, które pochodziły z firmy Kanold”. Po czym zwrócił



Henryk Kaczmarek-Kanold (w środku), właściciel fabryki słodyczy w Lesznie i ojciec autorki, ze współpracownikami

szczegółowo charakteryzować ich wygląd. Na mój trochę tajemniczy uśmiech zareagował zdecydowanie: „przecież pani nie może tych karmelków pamiętać!”. Otóż pamiętam, bo moje dzieciństwo pachniało karmelem, słodem, mlecznymi cukierkami.

To zaledwie niewielka część historii rodzinnej, którą zdecydowała się Pani opisać. Chciałoby się powiedzieć: wreszcie, bo przecież jest Pani autorką już kilku książek.

Piszę książki o znanych mieszkańcach grodu nad Motławą, który - mimo moich leszczyńsko-poznańskich korzeni - stał się moim miejscem na ziemi. W dorobku mam już siedem takich pozycji. Pierwsza, „Rozmowy o tańcu” powstała z autentycznego zafascynowania tańcem i osobą współautorki, znakomitej choreografki, twórczyni i gdańskiej szkoły, i naszego baletu, Janiny Jarzynówny-Sobczak. Potem napisałam portret znanego aktora Stanisława Michalskiego. Profesor Andrzej Januszajtis, „Gdańszczanin z wyboru”, najznakomitszy wyprzedzający

miasta, zaprowadził mnie do gdańskiego kościoła Świętej Barbary. Andrzej Perepeczko, marynista, w „Serwus, panie chie!” wprowadzał w arkana „okrętowej maszyny”. Króla polskich skrzypiec, Konstantego Andrzeja Kulkę namówiłam do zwierzeń w „Splacam dług”, gdzie przekonywał, że skrzypce mają duszę.

Z profesorem Je-

po wielu latach starań, napisałam „Spotkania o zmierzchu” z arcybiskupem senio-rem Tadeuszem Gocłowskim. W planach mam jeszcze kilku godnych gdańszczan.

Skąd więc teraz pomysł na książkę o Kanoldach? Czyżby potrzebę serca?

Swój, niemały udział w jej powstaniu miał Krzysztof Oskar, wydawca moich wszystkich książek. To on zachęcał mnie gorąco do utrwalenia sagi rodzinnej, a ja jako wczesny zodiakalny Strzelec nie składam łatwo bronii - moja konstelacja skłania do działania. Więc teraz napisałam „Kanolda rodzinna historia słodyczy”. I goręczy zarazem. Bo nasze losy, jak wielu polskich rodzin, obrazują życie i działalność rodaków przed i po drugiej wojnie światowej. Ich tworzenie, budowanie gospodarki, a potem walkę o utrzymanie własności, miejsc pracy dla współbraci. Oczywiście, była też w tym pisaniu potrzeba serca, aby dać świadectwo działaniom dziada i ojca, ich udziału w życiu Wielko-

rym Młynarczykiem bohaterem „Dzientelmena, nie tylko na parkiecie” łączy mnie poznański uniwersytet, koszykówka i zainteresowania kul-



punkt rozwoju osiągnęli w 1923 roku.

U progu lat dwudziestych ubiegłego wieku Anton Kanold był dyrektorem zarządzającym i największym udziałowcem fabryki słodyczy Sarotti, mieszczącej się w Berlinie-Schönebergu. Zapewne tam miał okazję poznać go mój ojciec, który urodził się w 1903 roku w Berlinie i jako młody człowiek był praktykantem w fabryce Sarotti. Przypuszczam, że jakąś inspirującą rolę w umieszczeniu go w tym zakładzie odegrał dziadek Mikołaj. Zapewne z berlińskich czasów datuje się późniejsza znajomość Antona Kanolda z moim dziadkiem i ojcem, która w 1931 roku doprowadziła do decyzji o wykupieniu przez nich fabryki Kanolda w Lesznie.

W latach dwudziestych Anton Kanold zainwestował w fabryki czekolady w Pradze, Mediolanie, ponadto otworzył fabryki cukierków w Berlinie, Essen i Norymberdze. Zbudował też fabryki produkujące cukierki w Kopenhadze, Paryżu, Wiedniu i Lesznie.

Bracia Kanoldowie przez cały czas inwestowali w najlepsze maszyny do produkcji słodyczy, jakie oferował im rynek. Poza tym nieustannie pracowali nad ulepszeniem swoich produktów. Z uwagą śledzili zmieniające się trendy na rynkach światowych, zwłaszcza amerykańskim i niemieckim. Najpewniej to wszystko przyczyniło się do ich sukcesu.

Po latach światowego kryzysu w Szwecji Kanold otworzył w Göteborgu sklep ze słodyczami. Jeden z nich do dzisiaj prowadzi Jeanna Kanold, w czwartym pokoleniu spowinowacona z rodziną Antona i Freda Kanoldów. Anton Kanold zmarł w 1951 roku. Nie udało mi się odnaleźć żadnych informacji, które by potwierdzały, że w latach powojennych miał on jakiś kontakt z moim dziadkiem lub ojcem. Zresztą realia polityczne w Polsce nie sprzyjały takim spotkaniom.

„Rodzinna historia słodyczy” można traktować nie tylko jako sagę rodzinną, lecz także jak opowieść o sukcesie. Taką, która stanowi inspirację dla współczesnych przedsiębiorców. Myślę, że zarówno mój dziadek, Mikołaj Kaczmarek jak



Reklama firmy Kanold w Gdańsku

Kanold mogłoby być dobrym wzorem dla dzisiejszych przedsiębiorców. Rodzice mało podróżowali, nie wydawali pieniędzy na własne potrzeby, bo najważniejsza była firma - inwestowali, rozbudowywali, ulepszyli produkcję. W archiwalnych zapisach znalazłam informację o wykupie większości akcji firmy, chroniąc ją tym samym przed przejściem w ręce niemieckie. Jak skrupulatnie podnosili kapitał akcyjny, na przykład z 150 do 500 tysięcy złotych.

W bilansach zachowanych w Archiwum Państwowym w Lesznie napisano, że w roku 1936 roku fabryka przerobiła 400 tysięcy kilogramów cukru, 250 tysięcy litrów mleka i 200 tysięcy kilogramów syropu cukrowego. Marka Kanold była postrzegana w II Rzeczypospolitej jako „synonim wysokiej jakości i dobroci produktu”. W fabryce tylko przy zawijaniu cukierków (ręcznym i maszynowym) pracowało sto pięćdziesiąt pakowawce. Myślę, że właśnie z tego powodu postacią mojego ojca zainteresowało się Stowarzyszenie „Pracodawców Pomorza”.

Spotkam się z nimi w ostatnim tygodniu lutego i będziemy rozmawiać jak to w tamtych czasach przedsiębiorcy dbali o rozwój swoich firm, o pracowników, o polską gospodarkę.

Zostało coś z rodzinnej schedy poza wspomnieniami? Tylko kilka puszek po cukierkach, opakowania czekoladowe, a w leszczyńskim muzeum piękny album, który pracownicy ofiarowali w 1948 roku, dziadkowi i ojcu „w dowód wdzięcznej przyjaźni”.

I ogromna dziura po moim „Kanoldzie” w Lesznie na ul. Królowej Jadwigi, jako symbol tego, co się stało z firmą po upaństwowieniu w czerwcu 1949 roku. Dla mnie jednak najważniejsze pozostaje wspomnienie ojca - człowieka dobrego, lubianego, przyznanego ludzom. Zawsze troszczył się o pracowników, interesował ich życiem, pomagał. Sponsorował dzieci, szkoły, instytucje pożytku publicznego. Jest więc do czego wracać pamięcią... ● Rozmawiał MAREK ADAMKOWICZ

